

**Jacek Szczyrba**

# **PUNKT LAGRANGE'A**



**Jacek Szczyrba**

# **PUNKT LAGRANGE'A**

**WYDAWNICTWO**  
  
**PODZIEMNE**

Poznań 2016

© Jacek Szczyrba  
© Wydawnictwo Podziemne 2016.  
ISBN 978-83-944722-1-4  
Projekt okładki: Jarosław Kisiel

[www.wydawnictwopodziemne.com](http://www.wydawnictwopodziemne.com)

*„...Prawdziwym szczytem osiągnięć  
jest pobicie armii wroga bez walki...”  
Sun Tzu „Sztuka Wojny”*

*„... Moi kochani przyjaciele, sądzę, że macie bardzo poważny problem. Czy w to wierzycie, czy nie, jesteście w stanie wojny. I możecie tę wojnę bardzo szybko przegrać, tracąc cały swój dobrobyt i wolność, jeśli nie zaczniecie się bronić. Mam nadzieję, że patrząc w swoje kolorowe telewizory zauważyliście już, że wojna ta toczy się teraz na całym świecie. Ma ona wiele twarzy, ale to ciągle jest ta sama wojna. Niektórzy nazywają ją „wyzwoleniem narodów”, inni „walką klas” lub „politycznym terroryzmem”. Jeszcze inni mówią o „antykolonializmie” czy „walce o demokrację”. Niektórzy wymyślają nawet takie zabawne nazwy jak „wojna sił patriotycznych” lub „ruchy pokojowe”. Ja nazywam ją światową komunistyczną agresją...”  
Jurij Bezmienow „List miłosny do Ameryki” 1983*



## Prolog

Wysoki, szczupły mężczyzna wszedł do restauracji i skierował się do stolika w głębi lokalu. Ta część wnętrza była słabo oświetlona, człowiek, który siedział przy stoliku krył twarz w cieniu. Wnikliwy obserwator zauważyłby, że jego jedna ręka jest niesprawna. Może zwichnięta, złamana? Nie miał założonego gipsu, ale trzymał ją ukrytą pod zarzuconą na ramiona marynarką, może na temblaku.

— Dzień dobry, panie kapitanie — odezwał się przybysz.

— Czołem, panie majorze!

— Ciszey... Nie róbmym przedstawienia. To nieoficjalne spotkanie, zapomniał pan?

— Przepraszam, majorze. — Człowiek z cienia mówił z szacunkiem w głosie, ale jego wzrok był zimny. — Proszę, niech pan siada. O czym chciałby pan ze mną rozmawiać?

— O przyszłości zawodowej. Pańskiej przyszłości...

— Czy zrobiłem coś, co mogło by jej zagrozić? — W głosie kapitana zaczęła pobrzmiwać ledwo wyczuwalna nuta hardości.

— A jak pan sądzi? Czy nie ma pan sobie nic do zarzucenia? — Przybysz zawiesił głos. Mężczyźni mierzyli się przez chwilę wzrokiem. — Jest pan z siebie zadowolony?

— Chodzi panu o ostatnią akcję?

— O ostatnią fuszerkę, chciał pan powiedzieć, kapitanie. Tak, właśnie o to mi chodzi! Dlaczego, do sakramenckiej cholery daliście się tak zaskoczyć?! Jak to w ogóle możliwe, że trzech zawodowców nie jest w stanie wykonać po cichu, bez świadków prościutkiej roboty? To miało być zwykłe zniknięcie. Takie rzeczy się zdarzają. Ot, człowiek wychodzi z domu i już nie wraca. Może się utopił w jeziorze, może wpadł do studni, nie wiadomo. Dlaczego nie wiadomo, kapitanie? Bo nie ma świadków! Nikt nic nie widział, rozumie pan? Naprawdę nie wiem, jak tak doświadczony oficer jak pan mógł dopuścić do czegoś podobnego... I co to za pomysł, żeby go zgarniać spod domu, gdzie mogło być mnóstwo świadków?

— To nie był zwykły figurant, panie majorze. On miał szósty albo i siódmy zmysł. Nawet ludzie od Kornela przyjeżdżali do niego z Wrocławia na szkolenie z technik operacyjnych... Nie dało się go tak po prostu obserwować. Na mieście urywał się jak chciał. Jakby się rozpływał w ulicznym ruchu. To stara szkoła, przedwojenny oficer, do tego doświadczenie z okupacji...Nie mogliśmy go aresztować gdzieś na mieście, bo kiedy rozpoczynaliśmy inwigilację stawał się niewidzialny...

— Co mi pan tu pierdoli, kapitanie?! Jeden człowiek, bez zaplecza, bez sprzętu, wodzi za nos ekspertów z resortu? Wyszkolonych oficerów Służby Bezpieczeństwa?!

— Powtarzam, to nie był zwykły, szary człowiek. To wyjątkowy talent. Jedyna metoda, żeby go zdjąć, to czekać pod domem...

— I dać przedstawienie szerokiej publiczności?!

— Zrobiliśmy to możliwie po cichu, bez hałasu...

— Więc kto, do kurwy nędzy, był wtedy w lesie?! Kto wpakował panu kulkę w ramię, kto rozpędził trzech wyszkolonych funkcjonariuszy?! Jakie są postępy śledztwa?

— Ciągłe szukamy... Sprawdzamy rodzinę, znajomych. On nie miał dzieci, podejrzanych nie mamy zbyt wielu...

— Jeśli to się rozniesie... Wie pan czym to grozi? Pamięta pan pogrzeb na Żoliborzu jesienią osiemdziesiątego czwartego? Właśnie! Wtedy rozgłos był nam potrzebny, chodziło o reaktywację dogorywającej opozycji i odwrócenie jej na naszą stronę. Ale tym razem potrzebujemy ciszy, absolutnego spokoju. Teraz przeprowadzamy „transformację ustrojową”. Macie znaleźć tego z lasu. Co to w ogóle jest?! Jakaś Irlandia Północna?! Ulster? Lepiej, żeby śledztwo było owocne. Inaczej polecą głowy, kapitanie, rozumiemy się?

— Tak jest, panie majorze!

— Pozbyliście się przynajmniej ciała?

— Tak jest! Nie ma obawy, nikt go nigdy nie znajdzie...



— I niech się pan o to modli, jeśli pan potrafi, kapitanie... Albo lepiej za to wypije. Bo jakby na przykład jakiś dziennikarz z Wolnej Europy się czegoś dogrzebał... Wie pan, co się wtedy z panem stanie?

Kapitan milczał, a im dłużej milczał, tym cięższe się jego milczenie stawało.

— Nie ma mi pan nic więcej do powiedzenia? — Przybysz zachowywał pozorny spokój. — A może coś jednak pana gryzie? Ma pan jakiś problem...? Oprócz braków w wyszkoleniu?

— Tak, mam! — nie wytrzymał kapitan — nie rozumiem, dlaczego jednych likwidujemy, wydalamy z kraju, przewencyjnie pałujemy, a z innymi cackamy się, jakby byli jakimiś cholernymi książętami?! Z Kuroniem góra spotyka się od dawna i podejmuje go jak przywódcę zaprzyjaźnionego mocarstwa... — przerwał, bo zrozumiał, że się zagalopował. Jego rozmówca jednak nie wyglądała na urażonego, wręcz przeciwnie, uśmiechnął się szeroko.

— Wiem, co panu leży na wątrobie. Frustruje pana, że nie jest pan informowany o szczegółach planu... No cóż, zdaje się, że wasi wtajemniczają od podpułkownika wzwyż, kapitanom pozostają domysły. Nic pan na to nie poradzi. Ale ja uchylę rąbka tajemnicy... zresztą, co to za tajemnica, myślę, że już się pan zaczął powoli domyślać. Chodzi o to, że nie po to hodowaliśmy w znoju opozycję, żeby ją teraz niszczyć. Właśnie teraz będzie nam ona bardzo potrzebna. Oczywiście nie każda opozycja, tylko ta, która rozumie ciężar odpowiedzialności, jaką chcemy ją obarczyć. Wie pan, ktoś za ten burdel będzie musiał odpowiedzieć, a w zamian za tę usługę coś musi od was dostać. Więc niech pan się nie zżyma na Kuronia, jeszcze zrobicie go ministrem, zobaczy pan! A póki co, trzeba mu wyczyścić przedpole, więc niech się pan zmobilizuje i następnym razem, jak ekstremista będzie miał zniknąć, to niech do cholery zniknie bez świadków! Jasne?

Człowiek tytułowany kapitanem chciał coś powiedzieć, ale uznał chyba, że nie ma to sensu. Zwiesił tylko głowę i wbił wzrok w stojący na stoliku kieliszek krystalicznie przezroczystej, dobrze zmrożonej Wyborowej.

— Pan się napije, kapitanie, śmiało — zachęcił przybysz — bez krępacji!

Kapitan wychylił kieliszek. Delektował się przez chwilę palącym zimnem rozlewającym się po żołądku.

— A jak tam pańskie hobby? — Ciągnął przybysz. — Proszę się pochwalić nowym nabytkiem. W resorcie słyszy się to i owo o panu...

— Właśnie sprowadziłem Mirafiori Abartha — kapitanowi zabłyśły oczy — jest sygnowany autografem Waltera Röhrla na nadwoziu. Unikat... Mam taką małą kolekcję, same włoskie legendy *rally crossu*...

— Tak, wiem. Brawo, bardzo ładne hobby, tylko proszę uważać, żeby ono pana kiedyś nie zgubiło. To kosztowna zabawa... Dobrze, kapitanie, pora

przejsć do sedna. Nie spotkałem się tu dziś z panem, żeby gadać o ostatniej wpadce, ani o rajdowych autach. Mam dla pana bardzo konkretną propozycję.

— Zamieniam się w słuch.

— Ja też mam swoją pasję, kapitanie. Kolekcjonuję informacje. Nikt mi za to nie płaci, robię to dla własnej przyjemności. Lubię być dobrze poinformowany. Informacja, to dziś najlepiej notowana waluta. Za odpowiednie informacje można kupić wszystko. Człowiek dobrze poinformowany podejmuje trafne decyzje. Mało tego, podejmuje je znacznie wcześniej, niż matołkowie niedoinformowani. Dzięki temu zyskuje się przewagę. To również polisa ubezpieczeniowa na przyszłość. Nadchodzą pewne... zmiany. I mimo, że to my jesteśmy ich inicjatorem, nie wszyscy z nas na nich skorzystają. Można oczywiście cierpliwie czekać, co z tego wyniknie, z której strony zawieje wiatr, ale to bardzo ryzykowne podejście. Kto wie, co właściwie się wydarzy? Może dzisiejsi gówniarze z ulotkami, których pan tak dzielnie tropi, za parę lat zajmą miejsce piętro wyżej niż pan? Gdyby awansował pan na majora, podpułkownika, wtedy trafiłby pan do grona rozgrywających, to pan rozdawałby karty po zmianie dekoracji, którą właśnie przygotowujemy. Ale pan ma pecha, kapitanie, awanse jakoś pana omijają. Niepokojące, prawda? Może być też tak, że zgodnie z planem uda się panu przetrwać wszystkie etapy nie tracąc pozycji. Ale jeśli się nie uda? Co wtedy? Wie pan, jak mściwi potrafią być ludzie? Głupie pytanie! Oczywiście, że pan wie! Przecież wielu z pańskich informatorów rozmawia z panem właśnie z chęci zemsty. A niech pan sobie wyobrazi, że kiedyś ktoś inny będzie chciał się zemścić na panu. Jakiś syn dzisiejszego działacza zamordowanego przez nieznanych sprawców, jakiś wywrotowiec, niedokładnie przerobiony na psychicznie chorego. Możliwości jest sporo. Zaznaczam, że nie mówimy o bliżej nieokreślonej przyszłości. To się zbliża. Proszę się uważnie przyglądać, to jest właśnie początek końca. Dwa lata, rok, może mniej...

— Do czego pan zmierza, majorze? — Kapitan starał się zachować pokorową twarz, ale był gorszym pokerzystą, niż mu się wydawało. Przybysz doskonale rozpoznał napięcie na twarzy swego rozmówcy.

— Do tego, że pora wziąć inicjatywę we własne ręce. — Ciągnął. — Innymi słowy pora wysiąść z czerwonego tramwaju na przystanku „Przedsiębiorczość”. Proponuję, żeby zaczął pan pracować dla mnie.

— Przecież od lat pracuję dla pana!

— Błąd! Teraz pracuje pan dla towarzysza Wiktora Michajłowicza Czebrikowa. Ja jestem tylko pańskim oficerem prowadzącym. Proponuję, żeby od dziś pracował pan WYŁĄCZNIE dla mnie.

— To dość ryzykowne, pomijać Centralę. Jeszcze nikomu nie wyszło to na dobre...

— Ryzykowne jest czekanie na niepewną przyszłość z założonymi rękami, kapitanie.

— Co miałbym właściwie robić?

— W zasadzie to samo, tylko na nieporównanie większą skalę.

— Mam produkować kolejne raporty o działalności wywrotowej?

— Tak, ma pan produkować kolejne raporty. Tyle, że nie tylko o działalności wywrotowej. I nie tylko o dysydentach. Ma pan zacząć zbierać informacje o każdym indywiduum w tym kraju, które dziś coś znaczy lub będzie znaczyć w przyszłości. Po jednej i drugiej stronie barykady.

— Dostaje pan takie raporty. Może nie ode mnie, ale przecież dostaje pan...

— Kolejny błąd, kapitanie. Dostają takie raporty, zgoda, ale jestem tylko pośrednikiem. Wszystko trafia do Moskwy i tam jest archiwizowane. Mnie marzy się prywatne archiwum. Od dziś chcę mieć monopol na tego typu informacje. Wykaże pan inicjatywę, ruszy pan głową i poszuka osób, które dziś jeszcze są w cieniu, bo są za młodzi, żeby coś znaczyć, ale za parę lat wejdą w odpowiedni wiek. Chodzi mi o ludzi którzy będą stanowić establishment w tym kraju. Przedsiębiorcy, bankowcy, politycy, naukowcy. Dzieci wpływowych rodziców... Zresztą jestem pewien, że sam pan wie najlepiej, o czym mówię. I powtarzam jeszcze raz: niech pan się przyjrzy obu stronom barykady.

— Czy mam odejść z firmy?

— W żadnym wypadku. Pozostanie pan na stanowisku.

— Kto to będzie finansował?

— O to niech pana głowa nie boli. Będzie pan dostawał godziwe wynagrodzenie, adekwatne do efektów. Proszę sobie dobrać kilku pomocników, najlepiej jakichś początkujących czekistów. I niech pan zadba, żeby żaden z nich nie poznał celu naszego przedsięwzięcia. Mogą znać tylko fragmenty, nigdy całość. I jeszcze jedno...

— Tak?

— Niech pan nie ulegnie pokusie rozpoczęcia samodzielnej działalności. Mam na pana wystarczający materiał. To naprawdę się nie opłaci. Chyba nie muszę wdawać się w szczegóły?

— Nie, panie majorze. Znam realia...

Obaj siedzieli jeszcze chwilę w milczeniu. Przybysz zmierzył wzrokiem swego rozmówcę, a miał spojrzenie, od którego topiły się najbardziej twarde charaktery. Teatralny trik, ale cudownie skuteczny. Tamten nie ośmielił się odezwać.

Major bez słowa wstał i ruszył do wyjścia.

# Rozdział I

## Warszawa

### Tuż przed początkiem końca...

Szary gołąb zatoczył jeszcze jedno koło i skierował się w stronę studni utworzonej przez ściany kamienicy przy ulicy Wroniej. Krążył przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy wylądować, czy może przeprowadzić szybki atak na obserwującego go kątem oka człowieka. Wreszcie najwyraźniej podjął decyzję, bo, odwiecznym zwyczajem wszystkich gołębi świata zmienił geometrię płatów, wypuścił klapy i podwozie, starannie wybrał trajektorię podejścia i po mistrzowsku, tuż przed przyziemieniem napaskudził prawie idealnie trafiając w but bezbronnej postaci. Dobieg zakończył kilkadziesiąt centymetrów dalej. Stary człowiek wychylił się spod zderzaka samochodu i cisnął w ptaka niedopałkiem carmena. Chybił, a gołąb jakby chcąc skomentować fuszerkę zrobił jeszcze jedną kupę, choć już nie tak spektakularną, jak poprzednia.

— Texas! Wsiadaj za kółko i rusz wajchą! Muszę naciągnąć linkę! — Krzyknął stary do kilkunastoletniego wyrostka stojącego nieopodal.

Chłopak, wysoki i kościsty, z trudem zajął miejsce za kierownicą malucha. W końcu sapiąc i stękając przesunął dźwignię.

— Coś ciężko chodzi. Towotu przydałoby się napchać w prowadnicę...

— Do rozumu sobie towotu napchaj, może co dobrego z tego wyniknie! Nie pouczaj starego wyjadacza! Którędy linka idzie, którędy? No, słucham!

— Przy wydechu...

— Zgadza się, przy wydechu. Bardzo dobrze kursant! A przy wydechu co jest?

— Przy wydechu jest.... półoś? — Zaryzykował Texas.

— Półoś! — Parsknął gniewnie stary. — Półoś to ty masz w portkach, huncwocie! Przy wydechu jest temperatura! Jaka to temperatura? Słucham!

— Wysoka? — Wystękał chłopak z trudem, bo fotel kierowcy był przysunięty do samej kierownicy i wymuszał permanentny wdech.

— Bardzo dobrze, kursant, widzisz, jak chcesz, to potrafisz pomyśleć! Ale przed wojną, to byś mógł co najwyżej z daleka popatrzeć na pięćsetósemkę. Tu trzeba mieć, o tu! — Zrzędził stary pukając się w czoło. — Towot wytopi się w dwadzieścia minut i tyle z niego zostanie, o! To trzeba WYREGULOWAĆ, to ma chodzić, jak szwajcarski zegarek. To ma być mechanika precyzyjna, to ma się przesuwac jak zamek w moim browningu, jak rękawiczka po smukłej rączce Rity Hayworth, jak ekler w sukience tej lafiryndy spod piątki, comprende?

— Comprende, comprende! Będzie to w ogóle działać?

— A czy kiedyś coś nie działało, jak się odpowiednio przyłożyłem? — Odparł stary.

Wyczołgał się spod auta, wytarł dłonie w kombinezon i sklął swój krzyż, który przypominał o sobie ostrym bólem.

— Niech szlag trafi reumatyzm! Mówię ci Texas, starość jest do dupy!

— A od kiedy ty jesteś tak ze starością spoufalcony, stryju? Starość to ty znasz ale z opowiadań, niejednego trzydziestolatka byś...

— Dobra, dobra, nie rezonuj mi tu! Chodź no i popatrz na to ustrojstwo. Linkę poprowadziłem wzdłuż wspornika zderzaka, tak, że z zewnątrz nic nie widać. Ciągniesz dźwignię, przesuwasz linkę, zwalniaś zawleczkę w zderzaku, o tu. Schył się! Widzisz?

— Widzę.

— Dobrze. Zawleczka się cofa i wypuszcza nasze niespodzianki. Proste, jak konstrukcja cepa. Nawet ty będziesz umiał to obsługiwać.

— A co z silnikiem? Przybyło mocy? — Texas zignorował złośliwość.

— Koniecznie chcesz się ścigać, co? Tylko moc i moc... A o moment obrotowy to nie łaska się zatroszczyć? Co ci przyjdzie z większej mocy na samej górze obrotów? Tłumaczyłem ci, że w mieście liczy się moment, łapserdaku, moment obrotowy daje ci przewagę na krótkich dystansach. Ale ty mnie oczywiście nigdy nie słuchasz. Owszem, na odcinku silnika mamy pewien postęp. Dałem nowy rozrząd, splanowałem głowicę i spolerowałem wszystkie progi w wydechu. — Stary, wyraźnie zmęczony usiadł na leżaku na środku podwórka. — Uważaj, bo teraz to najszybszy kaszlak w dzielnicy. Żaden duży Fiat ci nie podskoczy.

— A sto trzydziestka dwójka? — Texas wrócił za kierownicę i zajął się regulowaniem ustawienia fotela. — Podobno w Śródmieściu mają dwa takie nieoznakowane radiowozy.

— Dwulitrowe fiatowskie DOHC? Nawet nie próbuj. Nie ta liga. Poza tym pamiętaj, co ci mówiłem. To nie jest zabawka do ścigania się dla przyjemności. To tylko narzędzie pracy, więc nie popisuj się nim. Przyjdzie chwila, że trzeba będzie wycisnąć z niego wszystko, co się da. Wtedy pokażesz, co potrafisz. Ale teraz nie prowokuj losu, zrozumiano?

— Tajes, panie rotmistrzu! — Wrzasnął Texas parodiując ułański dryl.

— Co to miało być?! Tak, to możesz strzelać kopytami przed tą twoją dzierlatką. Jak już salutujesz, to rób to całym ciałem, masz być spięty i wyprostowany, jakby cię kasztanka Marszałka w dupę kopnęła! Zrozumiano? No! Spocznij! Teraz posłuchaj mnie uważnie. — Wyszeptał stary i rozejrzał się dookoła, jakby szukając niepowołanych uszu. Jednak na podwórku oprócz nich i gołębi nie było żywej duszy. Dawno już nauczyli się, że delikatne kwestie lepiej omawiać poza mieszkaniem. Sprawdzali co prawda regularnie wszystkie ściany, zakamarki, telefon i żyrandole, ale najlepszą ochroną wciąż pozostawało unikanie kompromitujących rozmów w czterech ścianach. — Jutro przyjeżdża kurier z Wrocławia.

— Od Kornela?! — W głosie młodego dało się wyczuć emocje

— Ile razy ci mówiłem, że takich pytań się nie zadaje?! Nieważne od kogo! Ważne, że przywiezie bibułę, którą trzeba przerzucić do lokalu na Pradze. Potem stamtąd ktoś to będzie kolportował dalej, to już nie nasza sprawa. My musimy zorganizować przerzut z Centralnego na Pragę. Jest duże prawdopodobieństwo, że kurier będzie miał ogon i trzeba ten ogon zgubić. Zrobimy tak, jak ostatnio, ja na przynętę, potem ty przejmujesz kuriera z towarem. W razie wpadki, powiesz, że podwozisz przypadkowego stopowicza. Jakies pytania?

Texas oparty o drzwi malucha popatrzył na stryja spode łba.

— Kiedy wreszcie zaczniecie działać bardziej poważnie? Bibuła, ulotki, książeczki z malutkimi literkami... Tu trzeba zrobić coś konkretnego, żeby czerwonym kapcie spadły...

— Proszę, proszę! Mądryego to i przyjemnie posłuchać. — Stary podniósł oczy ku niebu. — Tyle pokoleń w pocie czoła bezsensownie pracowało u podstaw, przekazywało z ojca na syna tradycję i wiedzę, żeby okupantom nie udało się wziąć naszych umysłów pod but, a tu przychodzi pan Texas, nasze objawienie, nasze słońeczko, jutrzeńka rozświetlająca ciemną noc i mówi: To wszystko jest nic niewarte, zaprzestańcie tych jasełek! Ja wam pokażę prawdziwą walkę, chodźcie za mną, wyjdźcie w pole, postawcie kosy na sztorc! Nic to, że oni mają czołgi i transportery opancerzone, racja jest po naszej stronie! Wyjdźmy na ulicę i przelejmy krew, mamy w tym wprawę, zrobmy komuchom

krwawą łaźnią! A potem popełnijmy zbiorowe harakiri, ładnie będziemy wyglądali w BBC. Słowo daję, nie wiem, w kogo tyś się wdał...

— Czy ja coś powiedziałem o szarzy na czołgi?! — Zaperzył się młody.

— Ty nie musisz tego mówić, ja to widzę po twoich oczach! Ty byś chciał skąpać te ulice we krwi, chciałbyś ich wieszać na latarniach... Rozwalać ich za Katyń i kolaborację.

— A co, może im się nie należy?!

— I owszem, należy się, ale ponieważ nie da się ich postawić przed uczciwym sądem, musimy o tym zapomnieć i skupić się na tym, co jest dziś realne. Czyli na pracy u podstaw. Prostowanie ich kłamstw, podtrzymywanie wiary w sens oporu, nauczanie, pocieszanie, przekonywanie...

— Jasne, my będziemy drukować bibułę, a nieznani sprawcy będą mordować co bardziej niepokornych...

— To co proponujesz? Wyjść na ulicę, zastrzelić dwóch z nich i dać się pozabijać reszcie? Tego chcesz?! Właśnie tak straciliśmy w Powstaniu najcenniejsze jednostki. Dzięki temu czerwonemu łatwiej było złamać nas po wojnie.

— Nieprawda! — Zaperzył się młody próbując bezskutecznie wyczyścić z oleju sfatygowane trampki. — Dzięki pamięci o Powstaniu czerwonym nigdy nie udało się złamać naszego ducha...

— Co ty tam wiesz, młokosie. Ja tam byłem, a ty nie. Gdybyś widział to, co ja widziałem... Poza tym cenna jest umiejętność patrzenia perspektywicznie. To dlatego dziś większość stanowi tak durną masę, bo gorące głowy, takie jak ty zamiast myśleć tylko czekały, żeby rzucać butelkami z benzyną, a potem iść czwórkami do nieba... Żadna sztuka dać się zabić, choćby i z honorem. Walka ma sens tylko wtedy, kiedy jest skuteczna. A my dziś nie możemy pozwolić sobie na starcie w polu, musimy prowadzić inną grę... Plan, trzeba mieć plan, według którego będziesz działał. Inaczej powiększysz tylko i tak już spory chaos. Więcej zimnej kalkulacji, mniej emocji.

— Dobra, dobra, aluzju poniał. To jak mamy to jutro rozegrać? Jaki jest ten twój plan?

— Jest tak...

Stary nie zdążył jednak wyłuszczyć szczegółów, bo na podwórko trzeszcząc i skrzypiąc wtoczył się trójkołowy rowerek prowadzony przez coś małego i niemożliwie umorusanego. Owo coś podjechało do Texasa, zadarło głowę i wyrecytowało:

— Jest kanalo! Jest kanalo!

— Żadna to dla mnie nowina. — Mruknął Texas. — Odkąd sięgnę pamięcią dookoła jest jedno wielkie kanalo. Czego się drzesz?!

— Kanalo! — Wywrzeszczało małe.

— Mów po ludzku! O co chodzi?

— No psecies mówię! Jest kanalo!

— Jakie kanalo?!

— No, sewlolet kanalo! Stoi tu niedaleko i właściciel umalł i jego zona spsedaje. Ale nie powiem gdzie, jak mi nie das telminatola!

— Camaro, Maciusiu, Camaro. — Włączył się stary.

— No mówię, kanalo!

— Gdzie on niby stoi? — Texas nadal udawał, że go to w ogóle nie obchodzi. Przeczuwał, że mały raczej nie wygada się odruchowo, ale zawsze warto spróbować.

— A das kasetę z telminatolem? — Maciuś okazał się jednak wytrawnym negocjatorem.

— Nie dam, ale pożyczę. Jeśli to naprawdę Camaro i jeśli jest jak mówisz. Bo jeśli coś kręcisz, będzie kocował! To gdzie ta gabłota?

Kiedy dotarł do miejsca wskazanego przez małego Maćka, słońce powoli schodziło ze sceny i długie cienie przechodniów i samego Texasa nadawały okolicy jakiegoś nierzeczywistego, hollywoodzkiego wręcz charakteru. Emocje sprawiły, że chłopak nie zwrócił uwagi na obraz malowany promieniami ognistej kuli, tonącej gdzieś na wysokości ulicy Okopowej. Co nie znaczyło, że był niewrażliwy na piękno. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie pozostawał obojętny wobec prawdziwego piękna. Potrafił godzinami studiować idealne proporcje, opływowe linie, strome krzywizny, przechodzące nagle w płaszczyny i niepokojące wklęsłości. Tak, Texas był koneserem. Może jeszcze nieco nieopierzonym, ale z pewnością dobrze się zapowiadającym. To właśnie zmysł estetyczny skłonił go do zawarcia bliższej znajomości z sąsiadką z drugiego piętra. Jola Ustian (przez złośliwe koleżanki przezywana Doustian). Wśród co lepiej zorientowanych w tej delikatnej materii, niewiasta znana była pod pseudonimem Jolka Kompressor, a Texas po pierwszym spotkaniu w jej mieszkaniu (kiedy to wykorzystywali bezlitośnie nieobecność rodziców), musiał przyznać, że autor owego przydomku umiał sprawnie połączyć wiedzę techniczną z namiętnością poety. Bo też obcowanie z Jolą wywoływało dreszcze i uniesienia porównywalne jedynie z tymi, których dostarczają najbardziej wyrafinowane dzieła techniki, tak lubiane przez dużych i małych chłopców. Gdyby towarzystwo z ulicy Wroniej było bardziej za pan brat z literaturą i historią klasyczną, Jola zyskałaby zapewne inny pseudonim, na przykład Messalina. Ale jedyny mieszkaniec kamienicy, który mógł dostrzec podobieństwo osobowości (ale nie inteligencji, niestety) Jolki i żony słynnego rzymskiego cesarza, niejaki Bergman, po pierwsze rzadko dzielił się z bliźnimi swoimi spostrzeżeniami, a po drugie jego wpływ na otoczenie był raczej niewielki. I tak porównania historyczne musiały ustąpić porównaniom motoryzacyjnym. W tym miejscu zapytacie, jak sądzę, o szczegóły wyglądu Joli, fizys, figurę i ogólnie, że to tak ujmę image sceniczny. No cóż, nie wypada się uchy-



łać od tego obowiązku narracyjnego, chociaż, słowo daję, nie wiem, czy po-  
dołam zadaniu, bo aby opisać to zjawisko potrzeba talentów, którymi  
obdarzeni są tylko nieliczni wybrańcy. Ale, dobrze, nie zważając na niedo-  
statki warsztatowe, spróbujmy roztoczyć wizję tej niezemskiej nieledwie  
istoty. Otóż w tym miejscu zacząć należy od oblicza. A w obliczu, jak wiadomo  
najważniejsze są oczy. Oczy, mówię! No! A więc oczy Joli były błękitne,  
z lekkim odcieniem szmaragdu, co doskonale konweniowało z jej blond  
lokami, sięgającymi w konfiguracji rozpuszczonej boskiego zadu, którego nie  
powstydzilaby się najbardziej rasowa klacz. A kiedy Jola spojrzała na jakiegoś  
młodzieńca, przysłaniając źrenice długimi rzęsami, to taki delikwent, żeby nie  
wiem jak był zaabsorbowany codziennymi sprawami, nagle zamierał jak za-  
hipnotyzowany. A że reszta powłoki cielesnej Joli w niczym nie ustępowała  
opisanym wyżej atrybutom, stan hipnotyczny tylko się wzmacniał... I oto Texas,  
zaspokajając głód piękna, mógł bez końca kontemplować perfekcyjne nie-  
wieście kształty i to bez względu na konfigurację przestrzenną, w jakiej aktu-  
alnie znajdowała się Jola. A trzeba przyznać, że dziewczyna potrafiłaby  
zadziwić najbardziej utalentowane gimnastyczki, ze słynną Nadią Comaneci  
włącznie. Proste, statyczne układy horyzontalne i wertykalne były dla Joli zbyt  
banalne, aby poświęcać im przesadnie wiele energii. Z prawdziwą maestrią  
potrafiła łączyć awangardę z klasyką. Przy jej talentach pojęcia takie jak „góra”  
i „dół” traciły swoje dotychczasowe znaczenie. A w chwilach wyjątkowych  
uniesień przechodziła do czegoś, co piloci myśliwscy nazwaliby niechybnie  
„lotem odwróconym”. Texas, który nigdy pilotem myśliwskim nie był, miał na  
to zjawisko swoje własne, niezwykle trafne określenie, jestem jednak zbyt  
skromny, żeby je tu zacytować. Były niestety również cienie, bo jakżeby ina-  
czej. Cały problem z Jolą zaczynał się już po, że to tak nazwiemy, przyziemie-  
niu, kiedy dziewczę próbowało nawiązać konwersację. Wtedy pryskał cały  
czar. Magia, która jeszcze sekundy temu inspirowała wyobraźnię Texasa, zni-  
kała bez śladu. Bo inteligencja Joli nie przytłaczała swoją głębią. Widocznie  
naturze, czy może losowi, albo opatrności (co kto woli) inwestując w ciele-  
sność dziewczyny zwyczajnie nie wystarczyło już kapitału na doinwestowanie  
intelektu, co sprawiło, że bydlątko z trudem odróżniało „pulpit” od „pulpy”,  
a „bynajmniej” od „przynajmniej” nie odróżniało wcale. A tak się złożyło, że  
Texas na tym punkcie był bardzo wyczulony, i kiedy odpoczywając po nie-  
zwyczajnie wyczerpującym immelmannie (żeby już pozostać przy lotniczych po-  
równaniach), usłyszał, że Jola „pragnie go najbardziej na świecie, bynajmniej  
w tej chwili”, zadumał się głęboko, co też jest w tych dwóch słowach takiego,  
że pół narodu je nagminnie myli. Ale też nasz młodzieniec nie spotykał się  
z Jolą w celu rozprawiania o naturze wszechrzeczy i umiał oddzielić kwestie  
ważkie od dupereli. Z czasem zresztą, nauczył Jolę wyłączać audio, niby to  
w celu wspólnego smakowania ciszy, więc ten drobny feler nie mącił już

więcej seansów rozkoszy. I tak trwało to już dwa tygodnie i dziś właśnie od rana szykował się na kolejny odcinek, kiedy niespodziewanie jego umysł został bez reszty zdominowany czymś innym. Dacie wiarę? Zdrowy, prawidłowo rozwijający się nastolatek z własnej woli rezygnuje z zaspokojenia niezwykłych wydawałoby się żądz na rzecz bliżej nieokreślonej, ale z całą pewnością zardzewiałej, kupy metalu! Stał pod drzwiami i nacisnął guzik domofonu.

— Słucham. — Rozległ się skrzekliwy głos.

— Ja w sprawie samochodu... Podobno jest do sprzedania...

— Proszę wejść na podwórko, zaraz przyjdę.

Chwilę później pojawiła się przygarbiona kobieta o zmęczonym spojrzeniu. Poszli w głąb podwórka. Na samym końcu stał garaż, a właściwie szopa z lekko zapadniętym dachem. Właścicielka otworzyła drzwi.

Serce Texasa zamarło na chwilę, a potem ruszyło w przyspieszonym tempie. Mały Maciek miał rację. Ten smarkacz rzadko mylił się w kwestii marek aut. Chevy Camaro, rocznik '70, może '71. Nagle z jakichś zakamarków pamięci wypłynęły słowa stryja, wypowiedziane kiedyś na tę właśnie okoliczność:

— Pamiętaj, młokosie, najważniejsze to zachować rozsądek, zwłaszcza w sytuacji stresowej. Nie napalać się, nie nakręcać, stać z boku i utrzymywać dystans. To ci pozwoli rozwiązać najpoważniejszy nawet problem wykorzystując wszystkie zalety chłodnego umysłu. To złota zasada... Ale ma wyjątki. Nadejdzie taka chwila, kiedy będziesz wybierał swój pierwszy samochód. To ważny moment w życiu. Tu nie można sobie pozwolić na fałszywy krok. Tu sam rozsądek to za mało. Jeśli podejdziesz do tego zupełnie na zimno, popełnisz błąd, nabawisz się frustracji przy pierwszej usterce. A potem stracisz cierpliwość i w przyływie desperacji będziesz chciał zepchnąć landarę do Wisły. Wiem, co mówię, trzy razy byłem żonaty. Więc zanim podejmiesz decyzję, zanim złożysz swój podpis na papierze, popatrz na samochód jeszcze raz, a potem zajrzyj w najgłębszy zakątek własnego jestestwa i wsłuchaj się w siebie. Czy czujesz coś więcej tam, w środku? Czy patrząc na maskę widzisz tylko lakier i chrom, czy może dostrzegasz coś więcej? Czy widzisz ciężar tych dwustu tysięcy kilometrów przejechanych na zbyt ubogiej mieszance, czy widzisz te zimy odciskające piętno na dolnych krawędziach drzwi? Czy czujesz żar słońca, który wypalił te plamy na desce rozdzielczej? Jeśli twój umysł rejestruje wszystkie te znaki, a mimo to pali się w tobie ogień namiętności, jeśli tętno ci przyspiesza, a dłonie zaczynają się pocić, to znak, że stoisz przed tą właściwą maszyną. Wtedy się nie wahaj...

Texas przełknął ślinę. Na pierwszy rzut oka samochód robił wrażenie padliny, trupa, nad którym zaraz zaczną kołować sępy. Spuszczone powietrze w obu przednich kołach, niewiarygodne ilości kurzu, ptasich odchodów

i innych, bliżej niezidentyfikowanych nieczystości robiły przygnębiające wrażenie.

Samochody starzeją się tak jak ludzie. Człowiek, który co dzień, regularnie przebiega dziesięć kilometrów, nie przesadza z używkami, odżywia się racjonalnie mając te, powiedzmy sześćdziesiąt lat, może być w doskonałej formie, a drugi, nałogowy alkoholik, żyjący w wiecznym stresie, przesiadujący non stop za biurkiem, zanim zejdzie na zawał nim skończy czterdzieści wiosen będzie wyglądał jak dziadek tego pierwszego. Podobnie jest z samochodami. Egzemplarz eksploatowany z odpowiednią dawką rozsądku nawet po dwudziestu latach może być w pełni sprawny i zachować parametry niewiele odbiegające od fabrycznych. Ten tutaj miał za sobą najwyraźniej nietypową historię. Było to zresztą charakterystyczne dla wszystkich egzotycznych marek, które trafiały do tej części Europy. Samochód był ewidentnie łagodnie traktowany przez większą część swojego żywota. Za to ostatnimi czasy musiał widocznie trafić do motoryzacyjnego czyścica. Los jeszcze nie wydał na niego ostatecznego wyroku, ale jasnym było, że znalazł się na drodze, która mogła okazać się jego ostatnią. Dla niewprawnego obserwatora byłoby to tylko pozbawione sił witalnych truchło. Texas jednak wiedział, że ma przed sobą zagrożoną w letargu legendę, obiekt marzeń wszystkich zdrowych na umyśle nastolatków od Bugu po Odrę. Wiem, wiem, co teraz powiecie! Że co to niby za rarytas, o czym ja tu w ogóle opowiadam?! Że gdyby to było coś bardziej szlachetnego, powiedzmy jakiś Anglik, dajmy na to Jaguar XSJ, albo Aston, albo chociaż Włoch na przykład Alfa Romeo Montreal, czy Lancia Fulvia, no coś stylowego, a do tego przystosowanego do pokonywania zakrętów i hamowania przed przeszkodami, to wtedy, owszem, można by mówić o ekscytacji. Ale jankes? Zza oceanu? Toż każde dziecko wie, że w tamtej krainie powstają pojazdy z natury rzeczy przystosowane do jazdy wyłącznie na wprost, że gwałtowniejszy manewr może się skończyć dachowaniem, że każde koło żyje swoim własnym życiem, a rozedrgane zawieszania, symboliczne hamulce i fotele, które wygodne są tylko przy uprawianiu seksu, bywały tematem niewybrednych żartów we wszystkich europejskich biurach konstrukcyjnych. Czyli, że całą amerykańską motoryzację lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych można skwitować jednym zdaniem: *unsafe at any speed*.

Ale Texas wiedział coś, o czym wy nie wiecie. Owszem, taki seryjny Camaro czy Firebird, to faktycznie pomyłka drogowa, ale jeśli się nim odpowiednio zając, okazać zainteresowanie, serce, to z trzęsącej się na każdym zakręcie galarety na kołach można zrobić przyklejoną do asfaltu bestię, dysponującą w dodatku trzema setkami mechanicznych rumaków. Jasne, że z burbona pędzonego na kukurydzy z Ohio nie robi się nigdy napoju dla angielskiego konesera szkockiej, ale Texas nie należał do snobów. Po prostu lepiej czułby się za kierownicą dobrego, starego, sprawdzonego *muscle cara*,

niż w jakimś wymuskany Bentleyu, czy Jaguarze. Zresztą chłopakowi nawet do głowy nie przyszło grymasić. Rozpoczął oględziny, starając się przy tym nie okazywać emocji. Wyczuwał, że może zrobić dobry interes. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby chciała się pozbyć kłopotu i wizyta chłopaka była dla niej wybawieniem. Najpierw jednak trzeba było dokładnie oszacować rzeczywisty stan samochodu. Mimo pierwszego odpychającego wrażenia nie wyglądało to źle. Przede wszystkim Camaro był kompletny. Wszystkie listwy, zderzaki, lampy były na swoim miejscu. Podniósł maskę, spodziewając się najgorszego: jakiegoś diesla z Mercedesa, albo chłodnicy od Żuka. Odetchnął z ulgą, każdy element, który ukazał się jego oczom był umieszczony zgodnie z wolą inżynierów koncernu General Motors. Co ciekawe, model, który miał przed sobą nie był jakąś ubogą wersją sprowadzoną do kraju po najniższych kosztach. Według napisu na błotniku miał do czynienia z odmianą SS, czyli Super Sport, dość rzadką nawet w Stanach. Skąd się wziął w Środkowej Europie? I jak trafił do tego kurnika? Musiał tu stać od kilku lat, w przeciwnym razie byłoby o nim głośno w okolicy. Tymczasem żaden z tutejszych mechaników, ani taksówkarzy, o ludziach Ciętego nie wspominając, nic o nim nie słyszał. A zatem był to prawdziwy samorodek. Najważniejsze, to utrzymać sprawę w tajemnicy. Texas wiedział, że jeśli wieść się rozniesie, zaraz pojawią się rekiny wyczuwające łatwą zdobycz. A wtedy on zostanie przelicytowany. Jego zasoby finansowe były bardzo ograniczone. Mógłby poprosić o wsparcie stryja, ale i tak miałyby marne szanse. Od tej pory priorytetem było zachowanie znaleziska w tajemnicy... Maciek! Psiakrew, jeśli szczeniak będzie miał jęzorem... Texas miał nadzieję, że kasetą video z „Terminatorem” będzie gwarantem ciszy w eterze. Cóż, i tak nic więcej nie mógł w tej chwili zrobić. Dobrze, teraz należało ostrożnie rozpoznać oczekiwania właścicielki...

— Trochę zaniedbany... Opony do wymiany, długo stał... — Zaczął Texas bez sensu.

— Mąż był marynarzem, prawie go nie używał... Ostatnio nie miał siły się nim zajmować.

Texasowi zrobiło się jej żal. Samochód pewnie był chwilowym kaprysem człowieka, który nagle znalazł się w wolnym świecie i mając możliwości chciał zaznać prawdziwych emocji. Chłopak szybko jednak przywołał się do porządku. Interes wymagał chłodnego umysłu. Przełknął ślinę i przeszedł do sedna:

— A ile by pani za niego chciała?

— No, nie wiem, nie bardzo się na tym znam... Myślałam... cztery miliony...

— Cztery miliony? — Texas zaczynał mieć wyrzuty sumienia. Pierwszy lepszy cinkciarz dałby bez zmruczenia okiem z osiem. A czuł, że kobieta opuściłaby jeszcze z tej i tak śmiesznie niskiej ceny. Co robić? Jakoś nie umiał rozebrać tego zupełnie na zimno...

— Proszę pani, mogę dać za niego pięć milionów. Ten samochód jest wart o wiele więcej, ale mam tylko tyle. Więcej nie dam rady...

— Chcesz dać więcej, niż cena wywoławcza? Dlaczego? — Na twarzy kobiety malowało się bezbrzeżne zdumienie.

No i masz! Texas był na siebie tak wściekły, że sam by sobie głowę obił. Tyle wyszło z jego zimnej krwi! Teraz baba pewnie w ogóle mu go nie sprzeda. Tak to bywa, jak się jest miękkiem...

Kobieta popatrzyła na niego dziwnie, jakby rozważając jakąś kwestię. W końcu podjęła decyzję:

— Dobrze, zgoda! Pięć milionów. I dziś ma stąd zniknąć. Nie chcę go więcej oglądać...

I tak oto wszystkie pieniądze, jakie Texas zarobił ostatnio w warsztacie stryja stały się właśnie wspomnieniem. Co prawda, ze swoimi talentami chłopak nie miał większych problemów z odłożeniem w niedługim czasie podobnej sumy, ale i tak trzeba było znaleźć jakieś wytłumaczenie na okoliczność rozmowy z ciotką. A trzeba zaznaczyć, że z ciotką, mówiąc oględnie, żartów nie było. Nawet stryj z trudem wykręcał się od poważniejszych represji, kiedy to wiedziony instynktem łowcy zakupił zniecka na Kole przednią lampę, czy gaźnik do swojego Harleya. I zapomnijcie tu o jakichś sztuczkach z chowaniem trefnych nabytków po szufladach, czy tajnych schowkach. Ciotka w warsztacie poruszała się równie sprawnie, co w kuchni. Jej uwadze nie uszła nigdy najmniejsza zmiana. Jakieś podejrzone wybrzuszenie pod gałganem przykrywającym skrzynię biegów, czy zbyt błyszcząca obudowa filtra powietrza i awantura gotowa. Ale policyjny nos ciotki, oddajmy jej sprawiedliwość, niejednokrotnie uratował stryjowi skórę. Texas pamiętał, jak kiedyś jacyś patentowani frajerzy bawiący się w konspirację przyprawdzili na regulację gaźnika Dacie z bagażnikiem wyładowanym sprzętem drukarskim. To właśnie ciotka zauważyła podejrzanego Fiata z dwoma smutnymi panami w środku, stojącego niedaleko na ulicy. Oczywiście Dacii nawet nie tknęli, a frajerzy już się więcej nie pojawili.

Innym znów razem dwóch ludzi z grupy Ciętego podstawiło nowiutką dziewięćsetjedenastkę z jakąś usterką elektryki. Texas miał wtedy masę innej roboty, ale musiał wszystko rzucić i wziąć się za Porsche, bo z Ciętym trzeba było utrzymywać dobre stosunki. Chłopak nie bardzo rozumiał, o co w tym układzie chodziło. Stryj niby gardził tymi cinkciarzami i szopenfeldziarzami, a tu nagle zaczyna się z nimi układać, robić im różne przysługi, szykować samochody. A do tego nie zawsze rozliczali się w gotówce, czasem przekazywali staremu jakieś informacje, nazwiska, papiery. Nigdy jednak nie zapytał stryja otwarcie, patrzył tylko podejrzliwie. W końcu stary nie wytrzymał i puścił farbę:

— Widzisz, Texas, czasem trzeba się trochę ubrudzić, żeby być skutecznym w tym, co się robi...

Niewiele to jednak wyjaśniło. W każdym razie nie wracali już do tej rozmowy. Po prostu Cięty miał pierwszeństwo przed innymi. No i wtedy właśnie zajęli się tym Porsche. Ale niestety okazało się, że interesuje się nim jeszcze ktoś. Jak zwykle ciotka pierwsza wypatrzyła intruzów w okolicy. Paru kozaków, jak się później okazało z Pragi przybyło na gościnne występy do centrum. Obserwowali garaż kilka godzin krążąc po okolicy. Ciotka wszczęła alarm i Texas odprowadził Porsche przed nocą na teren Ciętego, dając mu jednocześnie znać o konkurencji zza Wisły. Co ciekawe, obcych zgarnęli tajniacy. Przyjechali w dwa Polonezy i uwinęli się błyskawicznie, po tamtych nie zostało więcej śladu. Tak, ciotka była ich doskonałą tajną bronią kontrwywiadowczą. Co nie zmieniało sytuacji. Trzeba było się przygotować na ciężką przeprawę.

Było dobrze po północy, kiedy zaparkował swoją zdobycz na podwórzu kamienicy. Potężny, ośmiocyldrowy silnik stygł przy akompaniamencie miauczenia walczących o kawałek stoniny kotów.

W oknie na parterze wciąż paliło się światło. Stryj słysząc nieznaną dźwięk silnika wyszedł na zewnątrz.

— Tylko mi nie mów, że wydałeś wszystkie pieniądze na tego dzemsa.

— I owszem, wydałem. Ale było warto, popatrz...

— Patrz! I nie wiem, co na to powie ciotka... Ale tym razem to już twoje zmartwienie.

— Jakoś damy radę, stryju. Rok temu, jak kupiłeś tego Harleya też było ciężko, ale w końcu jakoś wszystko przyszło...

Stary wszedł do Chevroleta i gestem nakazał Texasowi to samo. Wrócili do przerwanej rozmowy na temat jutrzejszej roboty.

\*\*\*

Następnego dnia byli na Centralnym na godzinę przed przyjazdem pociągu z Wrocławia. Pojechali w dwa samochody. Stary prowadził Poloneza z lewymi tablicami. To właśnie on miał przechwycić jako pierwszy kuriera. Jeśli kurier miałby ogon, milicja nie powinna ich ruszyć. Niebiescy nigdy nie wtrącali się w operacje bezpieczniaków. Po prostu mieliby dyskretną obstawę w drodze do punktu docelowego. Texas pojechał podrasowanym maluchem. Samochód miał legalne tablice rejestracyjne, ale nadwozie od linii szyb w dół pokryte było grubą warstwą kurzu. Wyglądało to, jakby ktoś wybrał się pocziwym autkiem na rajd terenowy. W rzeczywistości brud był efektem żmudnych wysiłków wspartych talentem i solidnym doświadczeniem w kamuflowaniu pojazdów. Stryj opracował specjalną mieszankę na bazie talku, która po rozproszaniu na samochodzie przy użyciu pistoletu lakier-

niczego perfekcyjnie udawała naturalny kurz. Chodziło, rzecz jasna o utrudnienie odczytania numerów rejestracyjnych. Z perspektywy śledzącego radiowozu, maluch był nie do zidentyfikowania. Oczywiście w razie zatrzymania cały kamuflaż trafi szlag. Ale najpierw ktoś musiałby Texasa zatrzymać. A to łatwe nie było.

Pozostały do spotkania czas wykorzystali na rozpoznanie terenu. Samochody zostawili na parkingu od strony Alei Jerozolimskich, po czym spacerując niespiesznie, udając podróżnych obserwowali auta i przechodniów starając się odnaleźć ewentualny komitet powitalny. Po kilkunastu minutach wytypowali dwóch kandydatów. Kremowa Łada stała w idealnym z punktu widzenia obserwacji miejscu. Wyraźnie widać było dwie postacie siedzące na przednich fotelach. Mógł to być oczywiście przypadek, ale Łada i jej numery zostały odnotowane w pamięci. Drugim podejrzanym był biały duży Fiat kilkakrotnie okrążający dworzec. Podobnie, jak w przypadku Łady w środku siedziało dwóch ludzi. Charakterystyczna antena na dachu zdradzała radiowóz SB. Czasem tajniakom udawało się lepiej maskować środki łączności, ci jednak byli wyjątkowo niechlujni. A więc dwa samochody pod Centralnym. Jeśli rzeczywiście czekali na człowieka z Wrocławia, należało się spodziewać jeszcze co najmniej dwóch nieoznakowanych radiowozów, które najprawdopodobniej dołączą w trakcie operacji. Poza tym ktoś musiał jechać z kurierem pociągiem. To jednak nie miało większego znaczenia. I tak stryj w Polonezie miał odegrać rolę przynęty. Pozostawała jeszcze kwestia kamuflażu samego stryja, co było sprawą niebagatelną. Przyjmując, że będzie widoczny zza kierownicy samochodu należało pomyśleć o jakiejś charakterystyce. Zawsze w końcu istniało niebezpieczeństwo, że esbecy będą usiłovali potem zidentyfikować kierowcę, skoro nie udało im się to z samochodem.

— No dobra, a co z tobą? Pokażesz się w całej okazałości, a potem będzie cię trzeba chować na strychu, jak za okupacji? — Zaniepokoił się Texas.

— Czy ja na którejś akcji zapomniałem o kamuflażu? — Żachnął się stary. — Mam tu małą niespodziankę dla naszych czerwonych przyjaciół. — To mówiąc poklepał sporą torbę przewieszoną przez ramię. — Dobra, dość gadania, na stanowiska!

Zanim pociąg wjechał wreszcie na peron, Texas poszedł na parking i wsiadł do swojego malucha. Z miejsca, w którym zaparkował miał idealny widok i na wyjścia z dworca i na kremową Ładę. Białym Fiatem chwilowo nie miał jak się zająć. Po jakichś dziesięciu minutach w drzwiach pojawiła się dziwna para. Około czterdziestoletni, tęgawy mężczyzna, ubrany w letnią koszulę i dzinsy stanął w drzwiach dworca. W lewej ręce trzymał torbę podróżną, prawą poprawiał na nosie okulary w rogowej oprawie. Tuż za nim pojawiła się postać, która jakby zawieruszyła się w czasie i przestrzeni. Wojskowy szynel

sięgał niemal chodnika, postawiony kołnierz zasłaniał twarz, a całość wieńczyła charakterystyczna, spiczasta czapka, jaką nosiły żołdacy z pierwszej kompanii Siemiona Budionnego. Osobnik w budionnówce rozejrzał się po okolicy, pokiwał wolno głową, jakby dając wyraz aprobachie, że jednak odwrót pod Radzyminem w 1920 roku był tylko chwilowym spowolnieniem eksportu rewolucji, po czym wziął pod ramię swego kompana i obaj ruszyli przed siebie, jakby właśnie wybierali się na degustację frontowego samogonu. Przechodnie na wszelki wypadek omijali szerokim łukiem podejrzanych osobników, a ci, jak gdyby nigdy nic, podeszli do zaparkowanego Poloneza, wsiedli i wyjechali z parkingu na ulicę Marchlewskiego. Texas pomyślał, że musieli to uzgodnić wcześniej, bo kurier nie wyglądał na specjalnie zaskoczzonego maskaradą. Sekundy później kremowa Łada wyjechała spod dworca i ruszyła za nimi. Texas odczekał minutę obserwując parking. Nic ciekawego się jednak nie wydarzyło, wobec czego uruchomił silnik i ruszył w stronę wyjazdu na Aleje Jeruzolimskie. Jechał spokojnie w stronę Ochoty, zerkając na wszelki wypadek w lusterka, chociaż prawdopodobieństwo, że go śledzono było znikome.

Wyobraził sobie, jak cały esbecki konwój podąży teraz za Polonezem z sowieckim żołdatem za kierownicą i uśmiechnął się w duchu. Ustalili wczoraj, że najpierw pojeżdżą trochę po Żoliborzu, zajeżdżając w kilkanaście osiedlowych uliczek. Później przeniosą się na Boernerowo, a potem przez Groty i Jelonki wrócą do Centrum. Tam nastąpić miała zasadnicza część operacji. Warunkiem koniecznym było zgranie w czasie. Ponieważ nie mieli łączności radiowej, ustalili dokładny czas i miejsce spotkania w Centrum. Kurier miał wysiąść z Poloneza dokładnie o 16:30 na skrzyżowaniu Alei Jeruzolimskich i Marszałkowskiej, wejść do przejścia podziemnego przy Rotundzie, zrobić rundkę i wyjść w tym samym miejscu, w którym wszedł. W tym czasie za Polonezem stryja jechałby już najwyżżej jeden radiowóz. Teraz zgubić go to bułka z masłem. Texas miał zgarnąć Wrocławianina na rogu Rutkowskiego i Kruczej dokładnie piętnaście minut później. Cała karuzela miała na celu zgubienie przynajmniej dwóch radiowozów i ułatwienie pozbycia się pozostałych, jeśli faktycznie było ich więcej.

O wyznaczonej porze zdyszany facet, którego widział ze stryjem na Centralnym, otworzył drzwi od strony pasażera i z trudem wcisnął się w fotel.

— Zbyszek jestem! Spierdalamy! — Wydyszał.

— Texas. — Przedstawił się Texas. — Wedle życzenia, mister!

Wrzucił jedynekę, dodał gazu i puścił sprzęgło. Ruszyli Kruczą w stronę Mokotowa, minęli Aleje Jeruzolimskie, po chwili jednak Texas zawrócił na ręcznym hamulcu i pognali z powrotem do centrum. W lusterku kątem oka zauważył nowego aktora w tym akcie. Czarny Mercedes próbował rozpaczliwie powtórzyć manewr Texasa, ale esbek siedzący za kierownicą nie grał w tej



samej lidze. Ciężka limuzyna po podcięciu tylnych kół ręcznym, siłą bezwładu obróciła się stając w poprzek ulicy. Minęło kilka cennych sekund zanim samochód ruszył za nimi. Maluch przeciął na zielonym świetle Aleje, minął Rutkowskiego i wpadł na Plac Powstańców. Na wysokości Prudentialu zatrzymały ich czerwone światła. Rzut oka w lusterko... jest! Mercedes zbliżał się z rykiem silnika. Texas skręcił na chodnik i przepędzając nielicznych przechodniów wbił się w Świętokrzyską, by pięć sekund później skręcić pod kątem prostym w Czackiego. Rozpędził się na prostej, przeciął Traugutta i na wysokości Hotelu Victoria skręcił w prawo. Mercedes ciągle trzymał się z tyłu, ale dystans się nie zmniejszał. Gdy mały Fiat mijał obsadzony obojętnie przyglądającymi się scenie gołębiami kościół Wizytek, pościg wciąż był daleko. Zaczął ich dochodzić dopiero przed placem Dzierżyńskiego. Texas wiedział, że na prostych nie mieli szans. Jego pasażer zaczął się nerwowo rozglądać, jakby w poszukiwaniu torby chorobowej. Nie wyglądał na zbyt pewnego siebie. W końcu jednak się opanował i wyjął ze swojego bagażu urządzenie przypominające na pierwszy rzut oka walkie-talkie.

— Co to za sprzęt, mister? — Spytał podejrzliwie Texas mijając wlokącego się lewym pasem Ikarusa.

— To skaner, kolego, dzięki niemu będziemy wiedzieli, jak bardzo jesteśmy sławni. — Odkrzyknął tamten i uruchomił swoją zabawkę.

Z głośnika popłynęły zniekształcone dźwięki.

— ...sto czternaście, co się tam dzieje?!

— Ja sto czternaście, prawie mi uciekł na Kruczej, w miejscu zawrócił, skurwysyn....

— Mów fosa, kretynie, fosa!! Melduj, gdzie jesteś!

— ...nie słyszę cię, powtórz...

— Gdzie, kurwa jesteś, sto czternaście?! Podaj swoją pozycję!

— Ja sto czternaście, mijam czekistę, powtarzam, mijam czekistę. Mam figuranta na dwunastej, ale to niezły kozak, potrzebuję wsparcia! Powtarzam, dajcie mi tu kogoś! Odbiór!

— Najbliżej jest sto cztery, stoi przy misiach, zagoń figuranta do Cyryla. Jak mnie rozumiałeś? Odbiór!

— Ja sto czternaście, zrozumiałem, wykonuję! Bez odbioru!

Texas cudem unikając zderzenia z tramwajem na wysokości Muzeum Lenina popatrzył niepewnie na pana Zbyszka.

— Jaka fosa? Jaka dwunasta? O co im chodzi?

— Fosa to kod, którym się porozumiewają. Pozycję śledzonego podają według systemu zegarowego. Szósta to z tyłu, dwunasta na wprost i tak dalej, kapewu? Ale reszty kryptonimów nie znam, u nas we Wrocławiu bym się poła-  
pał, ale tu...

— W porządku. — Mruknął Texas i w ostatniej chwili wyprzedził hamującego przed nimi Peugeota. — Reszty ja się domyślę. Misie to zoo, chcą nam odciąć drogę przy komendzie na Cyryla i Metodego. Zmiana planu, niech się pan czegoś złapie, mister!

Wyjeżdżając z tunelu na trasie WZ zamiast wpaść na most chłopak odbił w prawo i zjechał w dół w stronę Wisły. Skręcił na Mariensztat i zwolnił.

— Co robisz, dorwą nas! — Zaniepokoił się pan Zbyszek.

— Więcej wiary, mister. — Odparł Texas.

Samochód toczył się powoli, a chłopak obserwował wjazd w ulicę w lusterku wstecznym. Chwilę potem pojawił się czarny Mercedes rozpaczliwie hamując na zablokowanych kołach. Odbił się od krawężnika, a kierowca z wyraźnym trudem opanował auto. Błyskawicznie ruszył w stronę zakurzonego malucha. Texas wciąż czekał.

— Ruszaj, kurwa, na co czekasz?! — Zbyszek stracił panowanie nad sobą.

— Moment...

— Jezu, już nie mamy szans!

— Myli się pan, mister, to on nie ma szans... — Mruknął Texas gapiąc się w lusterko.

Chłopak odczekał jeszcze sekundę i pociągnął dźwignię, którą tak pieczołowicie wczoraj regulowali. Dziesięć kolców ze stali nierdzewnej wypadło na bruk. Mercedes nawet nie zdążył zwolnić, jedno koło ocalało, ale trzy pozostałe felgi stuknęły o nawierzchnię, krzesząc iskry.

— Oj, obsobaczą cię dzisiaj, sto czternaście, obsobaczą... — Warknął Texas i nie niepokoiony już przez nikogo ruszył w stronę Wybrzeża Gdańskiego.

Na Pragę dotarli bez przygód. Skaner pana Zbyszka dostarczył im po drodze sporo uciechy, kiedy słuchali nawoływań wściekłych esbeków. Nawet bez tłumaczenia „fosy” można się było zorientować, że polecą głowy. Ktoś w końcu musiał odpowiedzieć za tak spektakularną porażkę. Bibułę zostawili w lokalu na Kijowskiej. Teraz mogli chwilę odetchnąć.

— Spiesz się pan, mister? — Zagadnął Texas.

— Niespecjalnie, pociąg mam jutro. — Odparł pan Zbyszek.

W takim razie zapraszam do nas. Stryj już pewnie czeka. Mamy taki cichy kąt na Siekierkach...

Na działkę dotarli późnym wieczorem. Stryj rzeczywiście już tam był, przyjął ich w swojej czapce budionnówce.

— Powitać, powitać! Czy wszyscy mamy powody do radości?

— Niech mnie kule biją, panie Romanie, to był majstersztyk! — Pan Zbyszek nie ukrywał zachwytu.

— A tobie jak poszło, stryju? — Zainteresował się Texas.

— A jak miało pójść? Czerwoni, jak to czerwoni, jeśli mają do czynienia z typową sytuacją, to sobie radzą, ale jak trzeba się trochę wysilić, zwłaszcza intelektualnie, to marnie im idzie. Selekcja negatywna, rozumiesz... Przewieźliśmy ich trochę po Żoliborzu, wstąpiliśmy na siusiu na Wolumen, pokręciliśmy się po Wrzecionie i dwa wozy musieli oddelegować do sprawżenia wszystkich miejsc, w których wysiadaliśmy. Potem już poszło łatwo...

— Nie zatrzymali cię?

— Najpierw nie chcieli, bo czekali aż nawiążemy kontakt, a potem już nie mogli... No, dość już o tym, zapraszam do stołu. Panie Zbyszku, przenocuje pan u nas do jutra?

— Szczerze mówiąc, na to liczyłem...

— Doskonale! Texas, zostało jeszcze trochę bigosu?

— Cały sagan, stryju, na tydzień starczy...

Siedzieli w ogrodzie, skupieni wokół wielkiego glinianego garnka z parującym bigosem. Od wścibskich oczu sąsiadów odgradzał ich rząd wysokich tui. Pan Zbyszek, stary znajomy stryja, okazał się dobrze zorientowanym w sytuacji podziemia gawędziarzem. Opowiadał o krążących po kraju plotkach. Podobno władza szykuje się do jakichś negocjacji z opozycją. Już się nawet zaczęli dogadywać, ale tylko z konstruktywnymi, a nie z jakimiś terrorystami. Dla nich, we Wrocławiu i innych miastach nic się nie zmieniło. Ciągnęła zabawa w chowanego.

— Wie pan, panie Romanie, my uważamy, że to jakiś podstęp. A Kornel mówi wręcz o prowokacji. — Opowiadał Zbyszek wyławiając co smakowitsze kęski mięsa z bigosu.

— I bardzo rozsądnie mówi! Dlatego właśnie w ogóle z wami rozmawiam, panie Zbyszku. Nie wiem, na co liczą tamci z KOR-u. Przecież wiadomo, że jak czerwony siada do rozmów, to o coś mu chodzi, ma w tym jakiś interes... pan się częstuje. — Stryj starym bagnetem otworzył butelkę królewskiego i podał gościowi.

— No tak, ale z drugiej strony, może będzie coś do ugrania. Może uda się coś wynegocjować...

— Panie Zbyszku, panie Zbyszku, bo straci pan w moich oczach! Jak tu negocjować? Tak, jak w osiemdziesiątym, a potem wachać spaliny skotów na ulicach? Przecież wiadomo, że słowo komunistów jest nic niewarte. Raz już się sparzyliście, powinniście wyciągnąć z tego naukę. Poza tym... wie pan, mój dowódca z lasu, major Koźniewski powtarzał zawsze, że ze zdrajcami się nie negocjuje. Zdrajców stawia się pod ścianą i strzela w łeb. W ogóle nie rozumiem, jak można teraz z nimi gadać.

— No ale przyzna pan, panie Romanie, że postawić pod ścianą ich się nie da. Przecież my wbrew temu, co pokazują w dzienniku telewizyjnym nie

chcemy do nich strzelać, ani nie jesteśmy szkoleni przez CIA. Może faktycznie trzeba się ugiąć i sięść do rozmów...?

— A pan swoje! — Rzucił stryj i pociągnął łyk piwa. — Toż mówię, że siadać do pokera z tymi kanalami można tylko mając pod stołem odbezpieczoną broń. Bo o to, że oni ją mają, może być pan spokojny. Więc lepiej nie siadać wcale. Panie Zbyszku, zresztą kto mówi o strzelaniu? Dziś byłaby to czysta głupota. Ale nie dlatego, że do komunistów strzelać jest nierozsądnie, tylko dlatego, że jest to niestety nieskuteczne. Wiem, co mówię, bo przez trzy lata, od czterdziestego piątego sam do nich strzelałem i efektów żadnych to nie przyniosło. Poza tym, że wyrznęli mi cały oddział, a i ja ledwo uratowałem skórę. Ale wtedy byliśmy młodzi i narwani. Poszlibyśmy z gołymi rękami na marszałka Rokossowskiego. To była rozpacz, wie pan... Świadomość, że zostaliśmy sami, że wszyscy mają nas w dupie, nawet ci, którym posyłałiśmy zdobywcze V2, żeby mogli lepiej bronić przed nimi swojego pieprzonego Londynu! A oni się odwrócili, sprzedali nas Gruzinowi w transakcji wiązanej. Więc, jak załapała nas ta czerwona swolocz to strzelaliśmy, choć więcej było w tym desperacji, niż sensu... Chociaż... sam już nie wiem, może właśnie wtedy świat był jeszcze normalny i sensowny, skoro bandytów pakujących się nam bezczelnie do domu witaliśmy ołowiem...

— Świat się zmienił, dziś ci bandyci sami siebie mianowali gospodarzami.

— Taak, pańskie pokolenie musi nam wybaczyć, że zabrakło wtedy amunicji... Ale teraz, możecie to rozegrać mądrzej. Macie niezłą organizację i pewnych ludzi. Zagrajcie inną kartą, werbujcie tamtych, jak oni werbują naszych, każdą metodą, szantażem, przekupstwem. Wejdźcie w ich struktury. Macie swój kontrwywiad, rozwijajcie go. To potężna broń. Nawet pan nie wie, ile można zdziałać takimi metodami. Stwórzcie siatkę własnych agentów w ich szeregach. Informacja, informacja i jeszcze raz informacja, panie Zbyszku! To klucz do sukcesu, trzeba zajrzeć im w karty. Ale nigdy, przenigdy nie negocjować z pozycji przegranego! Zapomnijcie o słowie „kompromis”, nie siadajcie z nimi do rozmów, bo znowu zwycięży prowokacja. Nie wiercie w liberalizację systemu, nie przykładajcie do tego ręki! Niech pan zapamięta: nigdy nie było żadnej liberalizacji komunizmu! Zawsze, czy to w 1956, czy 1968, 1980, czy teraz, to jest tylko iluzja, gra obliczona na stworzenie pozorów zmian. Czerwony ma jeden poważny zgryz: pali mu się gospodarka pod nogami. Więc niech on się spali razem z nią. Nie dajcie się wciągnąć w żadne dzielenie się władzą! Niechże pan zrozumie, że czerwony potrzebuje lipnej opozycji. Jest mu potrzebna, żeby uwiarygodnić własną słabość. Właśnie o własnej słabości, o upadku systemu chce przekonać Zachód. Im na tym zależy najbardziej, żebyście wzięli na siebie odpowiedzialność za katastrofę, która nieuchronnie musi nadejść. Więc niech się to zwali na ich łeb, swojego nie podkładajcie! Dopiero wtedy, gdy już będzie po wszystkim, można myśleć

o przejęciu władzy na waszych warunkach. To gra nerwów, wygra ten, kto do końca zachowa zimną krew. A póki co stwórzcie własny wywiad. To podstawa!

— No tak, ale wie pan — cedził Zbyszek ogryzając kość z resztek mięsa — to jest porywanie się z motyką na słońce. Co innego podsłuchiwać ich rozmowy przez radio, a co innego prowadzić poważną operację wywiadowczą. Owszem, jak pan wie, mamy nawet jednego człowieka w ich szeregach, ale stworzenie siatki, o jakiej pan mówi... no nie wiem...

— To wszystko jest tylko kwestią przełamania pewnego schematu myślenia, panie Zbyszeku. Jasne, oni mają infrastrukturę, zaplecze, finanse, środki łączności i przede wszystkim wsparcie okupanta. Są doskonale przeszkoleni i pozbawieni wyrzutów sumienia. To wszystko prawda. Ale to tylko ludzie i to ludzie nie najwyższej, że tak powiem, próby. W większości przypadków ich horyzonty intelektualne są bardzo ograniczone. Tam, gdzie decyduje brutalna siła, nie można z nimi wygrać, ale przecież w każdym systemie można znaleźć słabe punkty. Ich piętą achillesową jest płaskostopie umysłowe, brak wyobraźni, schematyzm myślenia. Do szkół, które kończyli zwyczajnie nie przyjmowali ludzi zbyt inteligentnych, błyskotliwych, uczciwych. Weźmy chociażby dzisiejszą akcję. Parę tanich sztuczek, w sumie prymitywne środki i proszę, wielka organizacja okazuje się bezsilna. Pojedynek Dawida z Goliatem. Podstęp i zaskoczenie jest warte dziesięciu dywizji. Nie znajdzie pan wśród nich drugiego Einsteina, czy choćby Łomonosowa. A wy tam, we Wrocławiu to przecież prawie wszyscy naukowcy. Matematycy, fizycy, umysły ścisłe. Wojna wywiadów to wojna intelektów. To wielowymiarowe szachy. To umiejętność przewidywania ruchów przeciwnika, ocena jego aktywów i pasywów. To właśnie praca analityczna. W tym jesteście od nich o niebo lepsi. Weźmy ten wasz nasłuch radiowy i rozkodowanie „fosi”. Jesteście na dobrej drodze. Wykorzystajcie to. Trzeba wejść w ich struktury, zwerbować paru ludzi. Proszę pamiętać, że oni podlegają takim samym pokusom, jak wszyscy inni, jak ich ofiary. Zdarzają im się chwile słabości, zdradzają żony, mają nietypowe upodobania seksualne. Poza tym można preparować różne kompromitujące sytuacje, kontakty z obcym wywiadem, walkę frakcyjną. Trzeba posługiwać się ich metodami, bo są skuteczne. Ale to wszystko oczywiście tylko środki do osiągnięcia celu. Celem jest zbieranie informacji. Trzeba wiedzieć, w co grają za kulisami, o co tak naprawdę chodzi. Jakie zmiany się szykują? Może na naszych oczach dokonuje się przełom, a my nic o tym nie wiemy, może są słabsi, niż nam się wydaje? Bez takich informacji będziecie, jak dzieci we mgle. Taka działalność według mnie powinna mieć dziś priorytet.

— Podsłuchiwanie rozmów to dziś szczyt naszych możliwości, panie Romanie. — Zbyszek odstawił pusty talerz, stłumił beknienie i sięgnął po kolejne królewskie. — My tak wysoko nigdy nie mierzyliśmy, prowadzimy głów-

nie akcje informacyjne, nadajemy audycje radiowe, drukujemy zakazanych pisarzy...

— Wiem, to wszystko jest bardzo istotne, odwalacie dobrą robotę. Jest cholernie ważne, żeby wbrew czerwonemu mówić prawdę, bo za, powiedzmy, piętnaście, dwadzieścia lat, kiedy nas, starych zabraknie, ten naród zostanie do reszty ogłupiony. Strach pomyśleć, co wtedy uda mu się wmówić... Wie pan, przedwojenne elity były impregnowane na taką propagandę, ale one niestety „poszły w bohaterzy” we wrześniu, płonęły nad kanałem La Manche w czterdziestym, ginęły w Katyniu, w Powstaniu i tak dalej. Dlatego dziś łatwiej jest nami manipulować. A co będzie w przyszłości? Może jakiś łebski propagandysta wreszcie wmówi tym biedakom, że jest fajnie, że czerwony to w sumie taki ładny kolor, że ciemne okulary to u dyktatora symbol swojej mądrości...

— Przesadza pan, panie Romanie. Temu narodowi można wmówić dużo, ale komunizmu doświadcza na własnej skórze. I powiadam panu, że po takich doświadczeniach nigdy, przenigdy żadnemu inżynierowi dusz nie uda się wmówić tym ludziom, że czerwoni są im braćmi.

— Optymista z pana. Chciałbym mieć pańską wiarę w mądrość naszych rodaków. Zresztą nie odnosi się to tylko do nas. To dotyczy każdej nacji, każdej społeczności. Kropla drąży skałę. Każda brednia sączona do głów odpowiednio długo wywiera w końcu wpływ na umysły. Zwłaszcza te mniej skomplikowane. To nawet nie musi być działanie specjalnie finezyjne, byle było realizowane konsekwentnie...

— O, tu mi kaktus wyrośnie, jeśli zwykli ludzie, nie czerpiący korzyści z komunizmu kiedykolwiek zapalają sympatią do tej hołoty! Przecież to niedorzeczność! Jak pan może sugerować coś takiego?!

— Nie docenia pan roli propagandy, ot co! Zresztą proszę się przypatrzeć tej pozał się Boże „konstruktywnej opozycji”. Czy widzi pan wśród nich jakiegos prawdziwego antykomunistę? Proszę wskazać chociaż jednego, który by otwarcie nawoływał do obalenia systemu. Każdy z nich mówi tylko o reformowaniu, proszę zwrócić na to uwagę. Żaden nie ośmiela się powiedzieć wprost, że tego gada nie da się zreformować, że trzeba go dobić!

— No wie pan, tego tak wprost powiedzieć się nie da... — Zbyszek jakoś nie wczuwał się w rolę radykała.

— Nie da się, powiada pan? To znaczy tylko, że nawet wam wmówili nieodwracalność tego fatum. Wszystko jest kwestią siły przekazu... W sytuacji, kiedy telewizja, prasa, szkoła pełne są kłamstwa, w końcu, w szerszej świadomości zaczyna się ono stawać prawdą. A niech pan zauważy, że oni są w tym dobrzy. Nie potrafią zbudować przyzwoitego traktora, domu, ba nawet butów! Wszystko, czego się tkną, zamienia się w cuchnące gówno, ale w dziedzinie manipulacji umysłami mas są niekwestionowanymi mistrzami świata.

Od tego zresztą zależy ich byt. Więc nie można ich na tym polu nie doceniać, bo to się w końcu zemści. Zawsze uczyłem młodego, żeby pod żadnym pozorem nie wierzył w to, co mówią mu w szkole, że wszystko, co czyta, słyszy, czy ogląda, jest skażone kłamstwem. I jeśli na chwilę wyłączy samodzielne myślenie, znajdzie się w fałszywej rzeczywistości. Więc to, co robicie jest niezwykle cenne, bo otwieracie oczy ludziom skazanym do tej pory na Dziennik Telewizyjny i Trybunę Ludu. Ale przecież nie o tym rozmawialiśmy. Książki Sołżenicyna nie zastąpią niestety konkretnej wiedzy o sytuacji strategicznej. A bez niej będziecie skazani na domysły. Dlatego powtarzam, powinniście bezwzględnie przejść do ofensywy. Zaczynjcie infiltrację. Musicie się uzbroić w informacje, bo dzięki nim będziecie mieli panoramiczny widok na pole bitwy. Bez tego cała wasza działalność jest skazana na porażkę...

— Pan proponuje plucie pod wiatr, panie Romanie.

— Ech, więcej wiary, więcej wiary... Wie pan, gdybyśmy rozmawiali o wyprawie na Księżyc przy pomocy kombajnu Bizon, to bym przyznał panu rację. To zadanie niewykonalne. Ale tak się składa, że przyszło nam żyć w kraju, w którym jedna jedyna dziedzina została opanowana do perfekcji...

— Niech zgodnę: picie bez zakąszania?

— Nie, panie Zbyszku. Konspiracja, wojna partyzancka, sabotaż, wieczne stawanie okoniem. Tak, jak Holendrzy toczący niekończącą się wojnę z nacierającym morzem z konieczności stali się mistrzami w wydzieraniu wodzie najmniejszego nawet skrawka ziemi, jak Beduini opanowali sztukę przetrwania na pustyni, tak my wykształciliśmy umiejętność życia pod okupacją. To naturalny proces ewolucji wymuszony przez położenie, przez ten geopolityczny punkt, w którym przyszło nam funkcjonować. Przez ostatnie prawie dwieście lat (z małą przerwą) nauczyliśmy się, że struktury państwowe są wrogiem, że trzeba zwalczać wszystko, co jest narzucane odgórnie. Każdy nakaz, przepis, pouczenie traktujemy jak zło konieczne, które trzeba ominąć. Nie wiem, czy ten naród kiedykolwiek będzie umiał żyć w warunkach prawdziwej wolności, ale wiem, że pod okupacją wciąż będzie gryzł i kopał. Ja proponuję wykorzystanie tego nieoszlifowanego diamentu, jakim jest rozwijana od pokoleń krnąbrność. Jeśli uwierzycie we własny potencjał, jeśli przestaniecie wreszcie traktować tamtych jak nadludzi, będziecie zdolni do skutecznego działania. I nie mówię tu o walce z bronią w rękę, tylko o penetracji ich struktur na zasadzie perfekcyjnie zorganizowanego wywiadu.

— Proponuje pan otwartą walkę z KGB, bo przecież nasi rodzimi szpicle, to tylko ich forpoczta. Czy ja się nie przesłyszałem?

— Zdziwiłby się pan, jakie ta osławiona organizacja popełnia błędy, jakie są jej słabości. Zresztą proszę popatrzeć na niezwykłą Armię Czerwoną. Pogromcy Guderiana i von Paulusa dostają w dupę od niepiśmiennych górali w Afganistanie. Tak samo jest z walką wywiadów. Czasem pozornie słabszy,

działając na własnym terenie, mając zaplecze logistyczne może wyrządzić olbrzymie straty silniejszemu rywalowi. Poza tym, wie pan, oni też nie są takim monolitem, jakby się mogło wydawać. Wśród nich są potężne rozłamy. I wie pan co? Trzeba te rozłamy wykorzystać. Znajdźcie kogoś, kto spadł w hierarchii z samej góry na dno, kogoś, kto popadł w niełaskę i wykorzystajcie jego frustrację i chęć zemsty. Przeciągnijcie go na swoją stronę, a będziecie mieli wielki atut. Wtedy będziecie wreszcie mogli zajrzeć im w karty.

— To mrzonki, panie rotmistrzu, zejźdźmy na ziemię. Trzeba realnie oceniać własne szanse.

— A jakie szanse dałby pan nam dzisiaj na Mariensztacie, mister? — Wtrącił się Texas do tej pory spokojnie przysłuchujący się rozmowie.

— To co innego, kolego. Przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Do tej pory taki cyrk widziałem tylko na amerykańskich filmach. Ale co innego wykiwać frajera na kilku skrzyżowaniach, a co innego wydać regularną wojnę tajnej policji. To się zwyczajnie nie może udać...

— Wy wszyscy tam we Wrocławiu jesteście takimi optymistami? — Texas popatrzył na Zbyszka z politowaniem.

— Słuchaj, szczeniaku...

— Panowie, spokój! — Stryj zerwał się na równe nogi, a ponieważ cały czas miał na głowie kamuflującą czapkę, a w dłoni bagnet, jego autorytet zmroził bitewny zapach obu kogutów. — Awantur nam nie potrzeba. Proszę wybaczyć Texasowi, gorąca głowa, pan rozumie, panie Zbyszku... W jego wieku wszystko wydaje się łatwe.

— Jasne, nie chowam urazy. A właściwie dlaczego „Texas”? Że niby południowa krew, co?

— Chłopak naczytał się książek o Alamo i zupełnie mu odbiło. Zaczął gadać, że powinniśmy się bronić, jak ci w Texasie w 1836 roku. Że w Texasie, to potrafili walczyć o swoje. I tak został Texasem.

— Historykiem nie jestem — pan Zbyszek odstawił kolejną pustą butelkę — ale pamiętam z takiego jednego filmu, że w Alamo obrońców fortu Meksykanie wycięli w pień. Taka skuteczność działania ci się marzy, kolego?

— No mówię, że nieco narwany, przejdzie mu. — Stryj uprzedził Texasa, który już się szykował do riposty. — Lekkomysłny, ale ma niecodzienny talent.

— Tak, widziałem. Mało nie puściłem pawia. Myślałem, że takie przeciążenia, to tylko w samolocie... To pan go tego nauczył?

— Częściowo, ale głównie to samorodny talent. Prowadził już w wieku 10 lat. Ma do tego dryg. Gdyby ktoś w niego zainwestował, Fittipaldi mógłby mu buty czyścić. Wysyłałem go do automobilklubu, ale tylko wzruszył ramionami.

— Nie będę się zadawał z tymi leśnymi dziadkami! Poza tym wybieram się na uniwersytet, nie będę miał czasu na ściganie.



- Na politechnikę byś poszedł, fach jakiś konkretny zdobyć.
- I co, zostałbym inżynierem bez polotu i fantazji? Niedoczekanie, wołę historię sztuki.
- Humanista, psiakrew! — Twarz stryja wykrzywił komiczny grymas. — Dosyć dyskusji na dziś! Może coś obejrzymy? Texas, co masz na tej kasecie?
- „Rambo”
- „Rambo”? O czym to jest?
- No przecież o tym weteranie z Wietnamu! — Odparł Texas zniecierpliwionym tonem. — Dramat wojenny. Jak można nie znać tego tytułu?!
- Dramat wojenny, mówisz... I co tam jest takiego dramatycznego?
- Weteran z Wietnamu wraca do Stanów i czuje się wyalienowany. Znaczący społeczeństwo go nie akceptuje. Nawet oficjalne władze są przeciwko niemu.
- Oficjalne władze? To akurat rozumiem. Wyrrywają mu może paznokcie? Albo trzymają przez miesiąc w karczerze?
- No... nie.
- A może skazują go w procesie kiblowym na czapę? Albo szantażują, że jak się nie przyzna, to mu zabiją rodzinę?
- Nie...
- No to co mu właściwie robią?
- No... każą się wynosić z takiego jednego miasteczka.
- To faktycznie dramat... A nie spocił się od tego?
- Stryju! — Texas był oburzony — Ale potem wysyłają przeciwko niemu gwardię narodową. A on sam jeden ich wszystkich wyprowadza w pole. Wreszcie go otaczają i musi się poddać. A na koniec jego dawny dowódca próbuje go z powrotem przystosować do normalnego życia. Dramat, jak nic!
- To może tak ja bym napisał im jakiś scenariusz? Tylko, że od mojego dramatu mogliby w tym Hollywood narobić w galoty... Dobra, już, dobra, włączaj, pośmiejemy się trochę, co panie Zbyszku?
- Zbyszek kiwnął głową. Pili wolno piwo...

\*\*\*

Niedziela rozpoczęła się dla Texasa nietypowo i to kompletnie rozbiło mu rozkład dnia. Jola Kompresor niemalże siłą zaciągnęła go do siebie tuż po jedenastej, tłumacząc, że rodzice pojechali na działkę i mieszkanie jest do ich wyłącznej dyspozycji. Cóż było robić? Przepuścić taką okazję to grzech, więc Texas uległ dość łatwo, chociaż jeszcze godzinę wcześniej szykował się do czyszczenia gaźnika w swoim Camaro. Jola jak zwykle, prawie bez rozgrzewki przeszła od razu do najbardziej spektakularnych figur akrobatycznych, nie dając naszemu śmiałkowi ani chwili oddechu. Jej ciało składało się i rozkładało,